

HOTEL

nad zatoką

HOLLY ROBINSON



MARGINESY



HOTEL
nad zatoką



HOLLY ROBINSON

PRZEŁOŻYŁA
Dobromiła Jankowska

MARGINESY

Tracy, za jej wielkie serce, odwagę i inteligencję.
Danowi i dzieciom, dzięki wam moje serce jest
pełne miłości.

Folly Cove

COPYRIGHT © 2016 BY Holly Robinson

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dobromiła Jankowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2017

Kamieniołom w Zatoce Szaleńców

*Późna wiosna gasi kamieniołom we mnie.
Mewy spokojnie czyszczą pióra. Moje krzyki
nękają cętkowane złoża lakierowanego
płaczu. Czas ulega sumakowi i sączy się.*

*Nawiguję na podstawie tego, co widać: mgła kuli się
ze strachu w Twin Lights na Thacher Island.
Pola skaleni i miki, szaleństwo nieba.*

*Jak ufać temu, co nie jest godne zaufania,
wadliwej sile spóźnionego refleksu,
archipelagowi, łukowi nieświadomości.
Odważniej nawigować tu przez kapitulację.*

*Odważniej wciąż stać na cyplu, słuchać.
Niewidocznych ławic przy odpływie.
Wraku i schodzenia z kursu. Słyszeć
kamieniołom: Powtarzaj za mną. Za mną.*

Emily Ferrara

z tomu *Alchemy of grief* [Alchemia żalu]

Anne wzdrygnęła się, gdy czerwone światła taksówki zamrugały na zwirowym podjeździe. Nie mogła się ruszyć. Dziecko w jej ramionach również nie drgnęło, zaskoczone zimnem wieczoru w Nowej Anglii. Kiedy znów tu przyjechała, niczego nie pragnęła bardziej, niż uciec stąd kolejny raz. Wszystko wyglądało tak jak przed dwoma laty, gdy wpadła tu z wizytą. Pradziadkowie jej ojca zbudowali Hotel nad Zatoką Szaleńców, elegancki ośrodek dla majątnych bostończyków, wznosząc go na skale nad niewielką plażą w kształcie podkowy. W hotelu były pięćdziesiąt dwa pokoje oraz dwie wieżyczki połączone okrągłym gankiem.

Z miejsca, w którym stała, Anne nie widziała wody, ale wyczuwała ostry zapach soli Atlantyku. Jeszcze wczoraj ocean szumiał pod tarasem jej domu w Portoryko.

By pozbyć się myśli o leżącym w ich łóżku Colinie, o plaży Luquillo, miękkim białym piasku i turkusowej wodzie, przywołała w wyobraźni obraz drugiej strony hotelu – szerokiego tarasu z bładoniebieskim sufitem i rzędem białych bujanych foteli. Kiedy w dzieciństwie siadywała w tym miejscu, miała wrażenie, że spogląda przez cały ocean i sięga wzrokiem aż do Europy.

Zrobiło się zimno, włożyła więc Lucy do nosidełka i owinęła ją kocem. Dziecko ledwo było widać. W nagrodę Anne otrzymała obśliniony uśmiech małej. W odpowiedzi również szeroko się uśmiechnęła i ucałowała ciepły policzek córki. Miała nadzieję, że

nie zastanie Laury. Nie potrafiłaby mierzyć się teraz z najstarszą siostrą. Nie tego wieczoru. Może już nigdy.

Boy hotelowy w granatowej marynarce i czerwonym kraciatym krawacie na widok Anne ciągnącej walizki i fotelik samochodowy wybiegł na zewnątrz.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – odezwał się. – Mamy dzisiaj wesele i wszyscy są zajęci.

Młody chłopak miał odstające uszy i twarz ze śladami ospy. Nie znała go, dzięki Bogu. Na plakietce widniało imię Tommy.

– Nie ma sprawy – odparła Anne.

Gdy boy postawił jej bagaże w recepcji, Anne dała mu napiwek i podeszła do lady. Jak na zawołanie zza rogu wyłoniła się jej matka pogrążona w rozmowie z Betty, która od lat zarządzała tu personelem sprzątającym. Tego wieczoru matka miała na sobie wąskie beżowe spodnie i czarny wełniany sweter. Strój podkreślała stara srebrna brosza ozdobiona rubinami. Sarah lubiła nosić rodzinne klejnoty Bradfordów.

Anne założyła ręce, by ukryć plamy na bluzie. Z premedytacją nie zerkała na swoje stopy w sandałach. Nie pamiętała, kiedy ostatnio robiła pedikiur. Nie widziała zresztą takiej potrzeby, gdyż całe dni spędzała na desce surfingowej.

Betty oddalała się od nich zajęta robieniem notatek na podkładce z klipsem. Albo nie zauważyła Anne, albo jej nie poznała. Nic dziwnego, kiedy ostatnio się widziały, Anne była ubrana w suknię koktajlową.

Didżej w sali balowej puścił piosenkę Vana Morrisona *Have I Told You Lately*. Anne przypomniała sobie, jak w hotelu w San Juan tańczyła do niej z Colinem. Musiała się opanować, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Cześć, mamó, przyjechałam.

Matka zmarszczyła czoło i zerknęła na zegarek.

– Później, niż myślałam. Samolot się spóźnił? – Mówiła grzecznym, ale chłodnym tonem, jakby zwracała się do go-

ścia hotelowego. Sarah nie znosiła publicznego okazywania uczuć.

Anne instynktownie przyjęła ten sam uprzejmy sposób konwersacji.

– Nie. Ale na North Station niemal godzinę czekałam na pociąg. Matka się obruszyła.

– Bardzo mi przykro, że musiałaś polegać na transporcie publicznym. Byłam pewna, że poprosisz kogoś, by cię podrzucił.

Anne pomyślała o Hattie, jej najlepszej przyjaciółce z liceum. Byłaby spokojniejsza w czasie podróży, gdyby to ona mogła wyjść po nią na lotnisko. Niestety, poprzedniego dnia Hattie wyjechała z Bostonu do Kolorado na wesele swojej siostry. Anne nigdy nie denerwowała się podróżami, ale tym razem w trakcie lotu z Portoryko była przerażona. Odkąd urodziła Lucy, miała wrażenie, że wszystkie niebezpieczeństwa świata kierują się właśnie ku małej: pędzące samochody, kłuszące owady, wirusy, terroryści, szkodliwe promieniowanie słoneczne. Kiedy lądowali na lotnisku Logana, była pewna, że za chwilę samolot wpadnie do lśniącego oceanu.

– Hattie w tym tygodniu nie ma w mieście – powiedziała w końcu.

– Laura nie mogła cię odebrać?

– Nie prosiłam jej o to.

Matka westchnęła.

– Miałam nadzieję, że doszłyście do porozumienia, o cokolwiek wam wtedy poszło.

– Pogodziłyśmy się – skłamała Anne. – Ale Laura jest zajęta. Nie chciałam jej zwracać głowy.

– Rozumiem. Cóż, sama pojechałabym po ciebie do Bostonu, ale wiesz, co tu się dzieje w weekendy. Byłoby wygodniej, gdybyś przyjechała w tygodniu.

Między innymi dlatego Anne się stąd wyprowadziła: matka zawsze stawiała hotel na pierwszym miejscu. W jej życiu nie

było zbyt wiele przestrzeni na inne sprawy. Szczególnie po zniknięciu ojca.

– Mamo, nic się nie stało. Dojechałam.

– I bardzo się z tego cieszę! – Sarah przechyliła głowę, taksując córkę wzrokiem.

To również się nie zmieniło: każdego dnia matka oceniała Anne i jej siostry, upewniając się, że wyglądają i zachowują się przyzwoicie. Lubiła im przypominać, że są „ambasadorkami” Hotelu nad Zatoką Szaleńców, a rodzina Bradfordów pochodzi od Williama Bradforda, jednego z założycieli kolonii Plymouth w Massachusetts.

– Czy to tatuaż? – zapytała nagle matka. Niby swobodnym tonem, ale jednocześnie zmrużyła podejrzliwie oczy.

Anne dotknęła obrysu małego ptaka, portorykańskiego lelka na nadgarstku, a potem obciągnęła rękaw, by go zasłonić.

– Tak.

– Cóż. Kiedy będziesz w moim wieku, w domu opieki będą mieli o czym plotkować.

Anne miała właśnie odpowiedzieć, że tatuaż to jej sprawa, ale w tym momencie za plecami Sarah otworzyły się drzwi do sali balowej i wyszły zza nich trzy pary. Mężczyźni ubrani w smokingi dyskutowali o drużynie New England Patriots. Za nimi szły kobiety, trzymając głowy wysoko na szczupłych szyjach, a ich sukienki drухen pienily się wokół nóg niczym słodkie brzoskwińowe mikstury.

Matka odczekała, aż goście znikną na szerokich, obitych dywanem schodach z dębową poręczą.

– Masz cudowną cerę, Anne. Portorykański klimat wyraźnie ci służy. I na pewno uda mi się umówić cię na strzyżenie w przyszłym tygodniu. David często ma miejsca we wtorki. Pasowałyby ci?

– Jasne. Może być. – Od ciężaru nosidła i napięcia związane go z tym, że matka zaraz dowie się, co w nim jest, Anne zaczęły boleć ramiona.

Sarah się uśmiechnęła.

– No dobrze, nie stójmy tutaj. Na pewno jesteś zmęczona. No i musisz wziąć kąpiel, i przebrać się przed kolacją. Poproszę Tommy’ego, żeby zaniósł twoje rzeczy do mojego mieszkania. Dobrze?

– Świetnie.

– Doskonale. – Sarah w końcu przemierzyła dzielący je szeregi ciemnozielony ocean orientального dywanu w recepcji, by ucałować policzek córki. Kiedy zobaczyła nosidło na ramionach Anne, ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. – Rany boskie. Czy to jest dziecko?

Anne nie powstrzymała śmiechu.

– Tak.

– To twoje? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

– O n a. I tak, jest moja. Ma na imię Lucy.

– No cóż, przynajmniej nie wybrałaś jednego z tych okropnych nowoczesnych imion. A gdzie jest ojciec Lucy? – Matka zaczęła rozglądać się po recepcji, jakby za jedną z wiktoriańskich kanap Anne ukrywała jakiegoś mężczyznę.

– W Nowym Jorku.

– Przyjedzie tu?

– Nie. Nie ułożyło się nam. Między innymi dlatego tu jestem.

Sarah instynktownie spojrzała na lewą rękę córki.

– Domyslałam się, że nie wzięliście ślubu.

– Nie. – Anne czekała na obowiązkowe „a nie mówiłam?”. Długo czekać nie musiała.

– Rozumiem. – Sarah głośno westchnęła. – Tyle więc wyszło z twojej wielkiej przygody w tropikach: dziecko i brak męża. Mój Boże, jak mogłaś się w to wplątać? – Matka założyła ręce i lekko zakołysała się na piętach. – Odwróć się.

– Słucham?

– Słyszałaś. Odwróć się! Chcę zobaczyć moją nową wnuczkę.

Anne wykonała polecenie matki. Ta odsunęła kocyk i zlustrowała Lucy, która albo spała, albo za bardzo się bała, by wydać jakikolwiek dźwięk. Dzieci zwykle czuły lęk przed Sarah. Kiedyś na urodzinach matka jednym spojrzeniem uciszyła całą bandę maluchów z podstawówki.

W końcu Sarah poleciła córce ponownie się odwrócić.

– Nie jest najbrzydsza mimo rudych włosów. Jednak musimy ostrożnie o niej informować, nie chcę niepotrzebnych plotek – oznajmiła i postukała szkarłatnym paznokciem w wydęte usta.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, mam! Nikogo nie obchodzi, że samotnie wychowuję dziecko. I w czym jestem gorsza od dziadka hazardzisty, który przegrał rodzinną fortunę? Albo od taty, który był pijakiem, a potem zniknął? O nich jakoś nie wstydysz się opowiadać ludziom! – rzuciła zirytowana.

– Seks to co innego. – Sarah ściszyła głos na widok starszej pani w spodniach khaki i błękitnym, wzorzystym, wełnianym swetrze, która pojawiła się w recepcji z kubelkiem na lód. – Poczekaaj tu, proszę, Anne.

Podeszła do kobiety, serdecznie się z nią przywitała i pokierowała w stronę maszyny do lodu w korytarzu, przy okazji odpowiadając na pytania o wycieczkę połączoną z oglądaniem wielorybów i najlepsze miejsce, by kupić homara. Matka traktowała ją tak poufale, jakby razem dorastały. Bo kiedy Sarah rozmawiała z gościem, czuł się on jak w domu.

Szkoda, że równie ciepłego traktowania nigdy nie doświadczyły jej własne córki. Kolana i plecy wciąż bolały Anne na myśl o łazienkach, które myła, czy tonach pościeli, którą prała w wielkich przemysłowych pralkach na dole.

– Wiem, że trudno ci to pojąć, biorąc pod uwagę twój wiek i styl życia, ale seks w Nowej Anglii zawsze wiązał się ze skandalem. To nie Karaiby. A od hotelu takiego jak nasz oczekuje się, że będzie promował rodzinne wartości – oznajmiła matka po powrocie.

Włosy Sarah, które zawsze układały się zgodnie z jej nastrojem, wysuwały się z ciasno upiętego koczka; długie siwe pasma unosiły się niczym pajęczyna.

– Będziemy informować, że właśnie rozstałaś się z ojcem dziecka i trudno ci o tym mówić – ciągnęła matka. – Zasugerujemy, że się rozwodzisz.

– Chyba żartujesz.

– Absolutnie nie. – Sarah mówiła spokojnie, ale zdecydowanie. – Jeśli masz tutaj zostać, właśnie tak przedstawimy twoją sytuację. Obawiam się też, że moje mieszkanie nie nadaje się dla dziecka.

Za podwójnymi drzwiami w sali balowej orkiestra zagrała *Raise Your Glass* Pink. W takt melodii goście zaczęły śpiewać. Anne musiała przekrzykiwać muzykę.

– Dlaczego?

– Nie mam miejsca dla dziecka. Ani cierpliwości. Wiesz o tym. Anne przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem, sfrustrowana kopnęła matkę w nogę. W tej chwili miała ochotę to powtórzyć.

– Lucy nie sprawia kłopotu. Jeszcze nawet nie raczkuje.

– Jak długo zamierzasz zostać?

– Kilka miesięcy? Aż znajdę pracę i znowu stanę na nogi. Będzie miło spędzić wspólnie Boże Narodzenie, nieprawdaż?

– Oczywiście, cieszyłabym się, gdybyś została na święta. – Twarz Sarah nagle się rozjaśniła. – I mam idealne rozwiązanie. Umieszczę cię we wschodnim skrzydle. Mam wolny pokój na trzecim piętrze. Tam goście nie usłyszą płaczu dziecka i nie będzie im przeszkadzało.

Anne oblała się rumieńcem, który jak zawsze rozlał się jej zapewne po twarzy, szyi i dekolcie. Zapewne ze względu na rudy kolor włosów nigdy nie potrafiła ukryć emocji. Równie dobrze mogłaby mieć je wypisane na skórze.

– Mamo, nie dam rady kilka razy dziennie chodzić z dzieckiem po schodach. Proszę, pozwól mi u siebie zamieszkać. – Anne nienawidziła, gdy musiała o cokolwiek prosić.

Co gorsza, czuła, że Lucy zaczyna kręcić się w nosidełku. Pewnie była głodna. Czteromiesięczne niemowlę przyzwyczało się do jedzenia co kilka godzin.

Anne wyobraziła sobie, jak zaczyna karmić w hotelowej recepcji. Mogła usiąść na którejś z kanap i podnieść koszulkę. Co zrobiłaby Sarah, gdyby jej córka odsłoniła pierś przed gośćmi? Zanim Anne zdążyła się powstrzymać, parsknęła śmiechem.

– Cieszę się, że uważasz tę sytuację za zabawną – odezwała się Sarah. – Ale mnie nie śmieszy, że z takim wykształceniem i możliwościami jesteś tylko samotną matką, bezrobotną i wytatuowaną jak połowa nastolatek w Gloucester, bynajmniej nie tak uprzywilejowanych jak ty. – Odwróciła się i gestem wezwała Tommy’ego, by zabrał bagaże córki. – Pokój trzysta siedem – oznajmiła i spojrzała na Anne. – Chodź, odprowadzę cię.

Byłam idiotką, myśląc, że mogę tu wrócić, myślała Anne, gdy szła korytarzem za matką w stronę tylnych schodów, niosąc Lucy i torbę z pieluchami.

Wbiła wzrok w podłogę, kiedy mijali te same pary wracające do sali balowej, unikając widoku kobiet w brzoskwiniowych sukniach i perłach. Robiły dokładnie to, czego od nich oczekiwano, a nie to, co zrobiła Anne, która spaliła za sobą wszystkie mosty.

Zdjęcia miały pójść gładko. Ich efektem powinien być teledysk lekki i słoneczny jak popowa wokalistka Tia.

Niestety, podobnie jak wiele rzeczy w Los Angeles, okazał się również studnią bez dna. I to z winy Elly.

By zaoszczędzić na produkcji, Elly nie skorzystała z usług tego co zwykle location managera. Tym razem sama wynajęła dom w Laurel Canyon. Należał do znajomego – zwykle bezrobotnego, zwykle naćpanego aktora.

Kiedy udało jej się uzgodnić warunki, odłożyła słuchawkę i uniosła pięść w zwycięskim geście. Cena mieściła się w budżecie. Ogród na tyłach domu osłaniały wysokie cyprysy. Na

końcu basenu bez krawędzi wodospad spływał na lśniące czarne kamienie. Miejsce idealne. Idealne aż do dnia rozpoczęcia zdjęć.

Najpierw nawalił basen. Woda w nim powinna być przyjemna jak w kąpieli. Elly, przyzwyczajona do szczypiącego zimna oceanu w Zatoce Szałeńców, gdzie dorastała, uważała większość basenów w południowej Kalifornii za paskudnie ciepłe. Woląla wodę tak lodowatą, nawet w sierpniu, że w ciągu kilku sekund odbierała oddech, aż drętwiały ręce i nogi.

Ogrzewacz w basenie musiał się zepsuć poprzedniego dnia. Tia, siedząca w wodzie na różowym dmuchanym flamingu, gdy ekipa ustawiała kamery i oświetlenie, mdlała z zimna.

Co gorsza, nie od razu to zauważono. Elly była projektantką planu, wraz ze swoją asystentką zajmowały się więc układaniem krzaków. Paul, reżyser, wrzeszczał na swoją asystentkę, by powiedziała w końcu sąsiadowi, żeby wyłączył tę cholerną kosiarkę, kiedy filmują.

– Cisza na planie! – wrzasnął w końcu Paul, przekrzykując kosiarkę i nieustannie puszczaną od nowa ścieżkę kolejnego hitu Tii.

Wtedy ktoś zawołał, żeby dali sobie spokój, bo piosenkarka zemdlą. Wszyscy stawiali na to, że coś wzięła. W Los Angeles zwykle to zakładano. Agentka Tii natychmiast weszła w tryb minimalizowania szkody, żądając, by schowali komórki do kieszeni i nie robili zdjęć, oraz przygotowując oświadczenia dla prasy mówiące, że piosenkarka w wieku osiemnastu lat złożyła śluby czystości i trzeźwości.

Elly wskoczyła do basenu, by wyciągnąć stamtąd dziewczynę. Reszta stała jak sparaliżowana widokiem kościstej nastolatki w lśniącym, srebrnym kostiumie syreny, kołyszającej się nieprzytomnie na nadmuchiwanym flamingu wśród stada uśmiechniętych nadmuchiwanym delfinów. Tia miała sine usta, o ton ciemniejsze od skóry delfinów.

Hipotermia, pomyślała Elly, kiedy Ryder Argenziano, operator, z którym czasami się spotykała, pomagał jej przenieść piosenkarkę przez szklane drzwi do domu. Chciał wezwać karetkę, ale agentka natychmiast wyrwała mu telefon z ręki.

– Już się budzi – warknęła. – Żadnej karetki. Nie potrzebujemy tu mediów.

Paul do niczego się nie przydał, podskakiwał tylko w małych, czarnych, skórzanych adidasach, wykręcając nerwowo ręce, dlatego to Ryder przejął kontrolę nad sytuacją. Kazał Elly trzymać wysoko pokrowiec na meble, by zasłonić Cię, kiedy stylistka zdejmowała z niej syreni kostium, a potem wkładała suchą bluzę i getry w jaskrawe biało-czerwone spirale, w których chude nogi dziewczyny wyglądały jak świąteczne lizaki.

Tia już oprzytomniała, ale wciąż szczykała zębami z zimna. Agentka i stylistka pomogły jej usiąść, opatuliły kocem i zmusiły do napicia się kawy oraz zjedzenia batonika energetycznego. Dziewczyna skubała go niczym chomik; pewnie na co dzień jadła tylko sałatę i piła wodę witaminizowaną.

Potem zadzwoniła do matki.

– Mam! Prawie utonąłam! Życie przeleciało mi przed oczami! Stojący obok Elly Ryder pochylił się jej do ucha i uśmiechnął.

– Przecież to trwało pięć sekund – wyszeptał. – Ile ona mogła mieć wspomnień? Dzień, w którym zdjęła aparat ortodontyczny? Bal maturalny?

Elly zrobiła minę. Zanim wzięła to zlecenie, wahała się, bo Tia miała wysokie notowania na stronach internetowych, i choć była bardzo młoda, zyskała już sławę gwiazdy. To zaś oznaczało dla wszystkich ból głowy.

– Nieważne – odparła. – Już w tym siedzimy. Tia działa w tym biznesie od przedszkola. Dobrze wie, jak rozegrać kryzys, żeby postawić większe wymagania na planie.

I właśnie wtedy poranek przybrał jeszcze gorszy obrót. Przenośne ogrodzenie opiekuna zwierząt najwyraźniej odłączono

od prądu – i pewnie zrobił to któryś z asystentów – trzymany w środku niedźwiedź wyszedł poza nie i minął wejście do ogrodu. Elly poczuła mocny, piżmowy zapach zwierzęcia. Ruszyła do drzwi, starając się iść powoli, by nie zwrócić uwagi Paula.

To Elly nalegała, by na planie pojawiły się żywe zwierzęta, oparła bowiem pomysł na teledysk na jedynym przyzwoitym fragmencie całej piosenki – o uwolnieniu bestii więzionej w sercu każdej kobiety. Obdzwoniła wszystkich mieszczących się w budżecie trenerów zwierząt w Hollywood z pytaniem, jakie stworzenia mogłaby ściągnąć na plan, mając ograniczone środki. Namówiła Paula, przekonując, że warto przesunąć część wynagrodzenia operatora i włożyć je w plan. Targowała się z trenerem, który przywiózł rano węża boa, ospałą, liniejącą papugę w paskudnym humorze i czarnego niedźwiedzia wielkości psa.

Jeśli miś Smokey wyrządzi jakieś szkody na planie albo w sprzeczcie, to będzie jej wina. Zanim Elly zdążyła wyjść do ogrodu i zawołać trenera, na trawniku nagle pojawił się kot sąsiadów. Niedźwiedź ruszył w jego kierunku z zadziwiającą prędkością, przebijając się przez kwitnące krzewy, które Elly rano wypożyczyła ze sklepu z rekwizytami. Wystarczyło kilka sekund, by krzaki rozpadły się na kawałeczki, konfetti z liści posypało na patio, a drobiny ziemi rozpuszczały w basenie.

Cholera jasna, co za bałagan. No i Elly będzie musiała zapłacić za zniszczone krzaki.

– Dobra, słuchajcie, kończymy – oznajmił reżyser. Na szczęście Paul stał odwrócony tyłem do drzwi i nie widział trenera goniącego misia po podjeździe.

Paul był niskim facetem, który z powodzeniem stosował taktykę zastraszania. Przez ostatnie dwa lata Elly pracowała z nim przy kilku projektach. Bez względu na porę roku w Hollywood Paul zawsze nosił skórę – czarne skórzane spodnie, czarną skórzaną kurtkę i czarne skórzane buty. Nawet notes miał oprawiony w czarną skórę.

– To by było na tyle, co? – odezwał się Ryder. On nie przejmował się ani Paulem, ani nikim innym, może dlatego, że dorastał w północnej Kalifornii. Choć Ryder wciąż nosił dżinsy i główne koszulki, jak nastolatek bumelujący w piwnicy u rodziców, Elly pociągał w nim luz Zachodniego Wybrzeża.

– No – rzucił Paul. – Na dzisiaj koniec. Dostaniecie wszyscy całą dniówkę. – Ukląkł obok piosenkarki. – Tia, skarbie, czy mama przyjedzie po ciebie? – Rzucił „skarbie” tonem, jakim zwykle ludzie mówią „grzybica”.

Tia skinęła głową.

– Dobrze. Doskonale. Naprawdę fantastycznie. Tylko pamiętaj, żeby po południu dać mi znać, jak się czujesz, okej? Jeśli czegoś potrzebujesz, czegokolwiek, tylko powiedz, a dostaniesz. Prawda, Michelle?

– Jasne. Zajmę się tym. Czegokolwiek potrzebujesz. – Asystentka Paula, Michelle, szczupła Japonka w kwiecistej sukience vintage i jaskrawofioletowych tenisówkach z cholewkami do kostek, wszystko notowała, stojąc u boku szefa.

– Elly, zadzwoń, jak tu posprzątasz – warknął Paul i wstał. – Nara. – Wyszedł frontowymi drzwiami tak szybko, że niemal nie dotykał podłogi.

– Dla mnie to koniec – westchnęła Elly. – Dla niego jestem martwa.

– Raczej tak – przytaknął Ryder.

– Powinieneś zaprzeczyć! – Dźgnęła go w zębra.

– Nie zwykłem nikomu słodzić. Dlatego mnie lubisz. – Ryder wzruszył ramionami.

– Dlatego cię lubiłam – sprostowała Elly.

– Wyluzuj. Jeśli zjesz ze mną lunch, pomogę ci posprzątać.

– Zgoda.

Kiedy godzinę później, stojąc w korku na autostradzie, Elly zadzwoniła na komórkę Paula, reżyser nie owijał w bawełnę: kiedy jutro wróca na plan, nie będzie już korzystał z jej usług,

podobnie jeśli chodziło o reklamę, której kręcenie mieli zaplanować w przyszłym tygodniu.

– Ale Paul, odwaliłam dla ciebie kawał dobrej roboty – zaprotestowała Elly.

– Nie moja decyzja, skarbie. Producenta. A wiesz, jak mało obchodzi go to, co zrobiłaś wczoraj. Jemu zależy na tym, co jutro.

– Paul, przestań. Powalcz o mnie. Kogo znajdziesz, żeby mnie zastąpił w tak krótkim czasie?

– Właśnie o to chodzi, kochana. Gwiazdy się ułożyły. Ściągnąłem tego młodziaka. Może go znasz, nazywa się Jay Goodwin. Wpadłem na niego w pijalni soków na Sunset. Co prawda ściana ma pełną nagród MTV, ale znalazł dwa dni wolne. Producent bardzo się ucieszył. Ale nie bierz tego do siebie. Pracujesz w tej branży dość długo, by wiedzieć, że to nic osobistego.

Elly opowiedziała o tej rozmowie Ryderowi, kiedy kupowali tacos w food trucku i poszli nad wodę w parku Silver Lake Meadow. Ryder zdążył też kupić sześciopak piwa.

– Ma rację – powiedział. – Hollywood to Kraina Jutra, a my jesteśmy przeterminowani. Wiesz, ile Paul ma lat?

– Trzydzieści? – zgadywała Elly.

– Dwadzieścia sześć.

– Szlag.

– No właśnie. A ty jesteś po złej stronie trzydziestu pięciu. Ja w przyszłym roku skończę czterdzieści. – Ryder dopił piwo i otworzył kolejne. – Paul pewnie się zastanawia, jak udaje nam się jeszcze poruszać bez wózka inwalidzkiego.

– Rany, dzięki, od razu mi lepiej. – Elly wgrzyła się w taco, delektując nagłym uderzeniem ostrego mięsa i salsy na języku. Pod tą przyjemnością kryło się jednak upokorzenie: Ryder dobrze odgadł jej wiek. Zabolało, szczególnie że Elly niedawno przedłużyła rzęsy i nałożyła nowy wypełniacz pod podkład, który – jak obiecywała stylistka – miał „uzupełnić wszystkie ubytki i zmarszczki, tak jakby zaszpachlować twarz”.

– Mam trzydzieści osiem lat – odezwała się. – Widać muszę w siebie więcej zainwestować.

– Daj spokój, wyglądasz świetnie. – Ryder machnął ręką w stronę parku, w którym dwie Latynoski w sandałach na platformach popychały wózki z dziećmi, wysmarowany olejkami facet opalał się w kąpielówkach, a dzieciak jeździł na deskorolce z chihuahua wetkniętym pod ramię. – Spójrz tylko na tę ludzką zbieraninę. W Los Angeles zawsze sobie jakoś poradzisz, prawda? Walt Disney to wiedział. Dlatego swoje pierwsze studio wybudował właśnie tutaj, w Silver Lake.

Elly dopiła piwo.

– Czy Disney nie miał ledwie dwudziestu pięciu lat, kiedy zbudował to studio?

– Dwadzieścia dwa.

– Dobij mnie.

Ryder się zaśmiał.

– Kiedy znudzi ci się produkcja, możesz robić coś innego. Dlaczego w ogóle się tu przeprowadziłaś?

Elly skończyła taco i zaczęła się zastanawiać, którą wersję swojego dawnego życia powinna opowiedzieć. Kilka razy przespała się z Ryderem – był jej pierwszym facetem od czasu romansu z Hansem, po którego wypaleniu i zakończeniu przez dwa smutne lata była niczym zombie – ale unikała do tej pory tematów osobistych. Spotykali się, było fajnie i nic poza tym. Ryder przyjeżdżał do domu Elly, ale nigdy nie pozwalała mu zostać na noc. Wołała sypiać samotnie. Zresztą jeszcze długo potrwa, zanim znowu zaufa mężczyźnie po wydarzeniach związanych z Hansem.

– Przeprowadziłam się tutaj, żeby zostać piosenkarką – odpowiedziała w końcu. – Na początku udało mi się zdobyć kilka zleceń. No wiesz, reklamy w kablówce, drobne role w kreskówkach. Nie dość, by robić to dalej. Po dziesięciu latach takiego dziubania zaczęłam pomagać koleżance, która projektowała plany zdjęciowe. Ona mnie wyszkoliła.

– Wciąż mogłaś przecież śpiewać po godzinach i do czegoś dojść.

Elly pokręciła głową.

– Nie. Dzisiaj, jeśli chcesz coś osiągnąć w muzyce, robisz to na swoim kanale na YouTube i cierpisz nieustanne poświęcenia. Zero zabawy, zero jedzenia i oczywiście zero snu. Nie zamierzam gonić tego króliczka. Lubię projektować plany. Cieszę się, że mieszkam w ciepłym miejscu i z dala od turystyki.

– A tym kiedy się zajmowałaś?

– Całe życie. Moja rodzina prowadzi hotel na północ od Bostonu – wyjaśniła. – Hotel nad Zatoką Szałeńców to tradycyjne miejsce, do którego od pokoleń przyjeżdżają rodziny, by wydać za mąż swoje córki, świętować ważne urodziny i rocznice. Sterta drew na klifie nad oceanem i ludzie w fotelach wiklinowych, którzy popijają jeden gin z tonikiem za drugim, aż nadejdzie pora kolacji i podadzą pieczeń.

– Brzmi niezłe.

– Oczywiście, jeśli jesteś gościem – przyznała. – Jednak dla nas życie w Zatoce Szałeńców oznaczało nieustanną pracę. Prowadzenie hotelu to jak prowadzenie domu dla rodziny złożonej z dwustu nieznajomych.

– Twoi rodzice wciąż to robią?

– Teraz tylko mama.

– A co się stało z lepszą połową?

Elly lekko uszczypnęła Rydera w ramię.

– Tata był pijakiem. Zniknął, kiedy miałam osiem lat. Od tamtej pory go nie widziałam.

– Auć. Mamie musiało być ciężko.

– Można by tak pomyśleć, ale nie. Trzyma hotel żelazną ręką w aksamitnej długiej rękawicze. Należy do arystokracji bostońskiej i nie pozwala nikomu o tym zapomnieć. – Elly dopiła piwo i odstawiła pustą butelkę do przenośnej lodówki. – Może jakoś przetrwałabym dzieciństwo, gdyby mama nie robiła ze

mnie i moich siostr darmowej służby. Robiliśmy za sprzątaczkę, pomoce kuchenne, modelki i animatorki, za wszystkie naraz.

– Ile masz siostr? – Ryder skończył jeść, zwinął serwetkę i papierki po tacy w równe kulki i zabawiał się, wrzucając je do pobliskiego kosza na śmieci. Za każdym razem trafiał.

– Dwie – odpowiedziała. – Laura jest najstarsza, ja środkowa, Anne najmłodsza. – Opowiedziała Ryderowi o reklamach telewizyjnych i prasowych, do których przez wiele lat pozowała z siostrami. – Fotografowie nas uwielbiali, bo Laura jest brunetką, ja blondynką, a Anne ma rude włosy. W jednej z gazet dziennikarz nazwał nas „Śpiewającymi Aniołkami Sarah”.

– Nie łapię.

– *Aniołki Charliego*? Kojarzysz taki serial? Moja mama ma na imię Sarah.

– Niezłe. – Zaśmiał się.

– Niekoniecznie. Kiedyś musiałam pozować w ogrodzie w zielonej sukience bez rękawów. Miała tyle warstw, że wyglądałam jak kapusta.

Ryder znowu się uśmiechnął i wyciągnął na trawie, zrzucając adidas.

– Sporo bym zapłacił, żeby obejrzeć to zdjęcie. A kiedy pracowałaś w hotelu? W liceum?

– I w podstawówce. I w college’u, choć chodziłam do szkoły w Bostonie. Ale i tak najlepiej znano nas jako śpiewające Bradfordówny.

– Wszystkie śpiewałyście? Razem?

Elly skinęła głową.

– Mama była śpiewaczką jazzową. Poznała tatę, kiedy któregoś lata występowała w hotelu. Po tym, jak tata zniknął, mamie z trudem udało się utrzymać finansowo. Bóg jeden wie, dlaczego nie sprzedała tego biznesu. Uznała jednak, że możemy zapewnić gościom darmową rozrywkę i dzięki nam zaoszczędzi. Miałam

z dziesięć lat, kiedy zaczęłyśmy występować. Kazała nam tak samo się ubierać i goście nas uwielbiali.

– To jak rodzina von Trappów z *Dźwięków muzyki*! Byłyście dobre?

– Właściwie to tak, byłyśmy. Bez względu na to, jak bardzo się kłóciłyśmy, potrafiłyśmy śpiewać w idealnej harmonii. – Elly przez kilka minut przyglądała się grupie rzucających frisbee obdartych chłopaków bez koszulek i w plażowych szortach, a potem znów spojrzała na Rydera.

Miał zamknięte oczy. Widziała piegi na jego nosie. Brązowe włosy, długie niemal do ramion, przetykały złote, rozjaśnione słońcem kosmyki. A może je farbował? W Los Angeles nigdy nie wiadomo. Elly zdziwiła się, jak bardzo miała ochotę je pogłaskać. Zacisnęła dłonie na kolanach.

– Twoje siostry wciąż mieszkają w Massachusetts?

Elly oparła się na łokciach.

– Tylko Laura. Anne jest w Portoryko, spełnia marzenia, surfuje i tak dalej. Laura także chciała wyjechać z Massachusetts. Jeździ konno i bardzo ciężko trenowała. W college’u należała do drużyny jeździeckiej i myślała o olimpiadzie, ale potem postanowiła wyjść za mąż i być mamą.

– Na pewno za nimi tęsknisz.

– Nie bardzo. Nasza matka nie należy do rodzinnych i ciepłych osób. Dzwonię do niej z okazji urodzin i świąt, odwiedzam raz na jakiś czas. Z Laurą rozmawiamy raz w tygodniu. Kiedyś byłam najbliższą z Anne, ale w tym roku obie jesteśmy zbyt zajęte, by utrzymywać kontakt. Wiesz, jak to jest w rodzinie. Kiedy wyjeżdżasz, zaczynasz się zastanawiać, czy gdybyś nie był spokrewniony ze swoim rodzeństwem, to moglibyście zostać przyjaciółmi.

– Jasne.

Ryder przytaknął tak ochoczo, że Elly musiała przejść do obrony.

– A twoja rodzina? Jesteście ze sobą blisko?

– Niespecjalnie. Jestem jedynakiem. Rodzice zawsze woleli tylko swoje towarzystwo. Oboje są nauczycielami, wychowali mnie w na wpół pogańskiej komunie w północnej Kalifornii, w mieście, o którym czas zapomniał – odpowiedział. – Hipisi wciąż sprzedawali tam na ulicach domowy chleb z koszyków i mieszkali w vanach, gdy nie stać ich było na namioty. Jako dziecko miałem wielu znajomych wśród dzieciaków, ale niezbyt bliski kontakt z matką i ojcem. Szczerze mówiąc, chyba im ulżyło, kiedy się wyprowadziłem.

– No właśnie. Życie toczy się dalej – skwitowała Elly.

– Pewnie tak. Ale zawsze zazdrościłem ludziom takim jak ty.

– Ludziom takim jak ja?

– Takim, którzy mają prawdziwą rodzinę: matkę, ojca, rodzeństwo. Prezenty pod choinką.

Elly poczuła, jak Ryder turla się w jej stronę. Otworzyła oczy, kiedy zaczął całować jej szyję.

– Przestań! – Odepchnęła go ze śmiechem.

– Ale dlaczego? – Pocałował ją znowu.

– Nie jesteśmy sami. – Odsunęła się, kiedy nad ich głowami przeleciało frisbee.

Ryder wyciągnął rękę i złapał dysk, po czym odrzucił go do jednego z graczy.

– Nie musimy tutaj zostawać. – Podbródkiem wskazał swój samochód. – Mieszkam kilka kilometrów stąd.

Elly uparła się, że pojedzie za nim własnym autem. Mała przygoda będzie miłą odmianą od ciężkiego poranka na planie, ale nie zamierzała utknąć w mieszkaniu Rydera na dłużej.

Spodziewała się, że będzie przypominało jej własne – zbyt drogie studio w anonimowym budynku. Zdziwiła się, kiedy Ryder wjechał na podjazd żółtego parterowego budynku z dachem krytym gontem, zielono-niebieskimi drzwiami i płótem przykrytym szkarłatną bugenwillą.

– Ładnie tu. – Elly nagle ogarnęła nieśmiałość. Spociła się najpierw na planie, potem w trakcie pikniku w słońcu, w ustach miała kwaśny posmak. – Mogę wziąć prysznic?

– Jasne. – Zaprowadził ją przez bramkę na dziedziniec, podał ręcznik i pokazał prysznic ukryty na zewnątrz przy ogrodzeniu z kratownicy. – Czy teraz mam cię zostawić samą, żebyś odprawiła swoje tajemne babskie rytuały?

– Możesz też wyszorować mi plecy. – Zaśmiała się.

– Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. – Ryder płynnym ruchem ściągnął koszulkę.

Była niedziela, ale Laura wstała o świcie. Kiedy ubierała się w łazience, próbując nie obudzić Jake'a, odtwarzała ponownie w głowie ich wczorajszą wieczorną rozmowę.

– Musimy poprosić twoją matkę o pieniądze na czesne Kennedy – powiedział Jake. – Innego wyjścia nie widzę.

– Nie mogę – zaprotestowała. – Nie po raz kolejny.

– Lauro, nie rozumiem, w czym problem – stwierdził, przeczesując ręką włosy. – To twoja matka się uparła, by Kennedy chodziła do tej szkoły. Jakie jest inne rozwiązanie? Wysłać ją do publicznej? Dla mnie nie ma sprawy, ale ty i Sarah byście się nie zgodziły.

Laura włożyła kurtkę i pomaszerowała do stajni; musiała nakarmić konie, wypuścić je i wyczyścić boksy. W ostatnim czasie tylko tutaj miała nad swoim życiem jakąkolwiek kontrolę.

Dużymi haustami wdychała zimne powietrze. Ich dom znajdował się zaledwie kilkaset metrów od hotelu, po drugiej stronie drogi, patrząc od oceanu. Z tyłu posiadłości rozchodziły się szlaki do lasu i w stronę Dogtown*. Nie było stąd widać

* Dogtown – opuszczona osada na Cape Ann w stanie Massachusetts (USA), obecnie w większości porośnięta lasami. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

wody, nawet gdy zimą z drzew opadły liście, ale przynajmniej w powietrzu unosił się zapach soli. Tego ranka atramentowe niebo na horyzoncie przemywała brzoskwiniowa smuga. Pierwsze dęby zdążyły się już zażółcić, a klony zaczerwienić, choć był dopiero ostatni tydzień września. Pod wiszącą nisko poranną mgiełką rozpościerało się wciąż jeszcze zielone pastwisko.

Laura wypuściła wszystkie konie poza jedną z klaczy należących do klientów, gniadą Morgan, która zraniła się w nogę podczas skoku i właściciel chciał zatrzymać ją w stajni jeszcze tydzień. Przywiązała ją w boksie. Gdy zaczęła czesać konia zgrzeblę i czyścić mu kopyta, poczuła, jak napięcie powoli spływa z jej ramion. Dotyk gładkiej zwierzęcej sierści, zapach skóry, miękki nos szukający w jej dłoni marchewek – to znała i kochała od dzieciństwa.

Ich ojciec, Neil, zachęcał, by Laura uczyła się jeździć konno. Pojawiał się też na każdym zawodach córki, aż do dnia, kiedy zniknął. Laura miała wówczas dziesięć lat – wystarczająco dużo, by wiedzieć, że ojciec nie wróci. Mimo to na kolejnych występach wciąż wyobrażała sobie Neila na trybunach, jego rumianą i wesołą twarz pod kapeluszem z klapniętym rondem, który chronił go przed słońcem. Widziała, jak wstaje i wiwatuje, gdy odbierała nagrodę.

O ironio, była jedyną z trzech sióstr, która została na Cape Ann, choć przecież marzyła kiedyś o olimpiadzie. To, że się nie udało, tłumaczyła spotkaniem Jake'a, zajściem w ciążę i rzuceniem college'u albo tym, że była potrzebna matce. Czasami jednak zastanawiała się, czy nie została tutaj dlatego, że czekała na powrót ojca. On bardziej niż ktokolwiek inny sprawiał, że w siebie wierzyła.

Niestety, ponieważ Laura brała pieniądze od matki, była jedyną Bradfordówną, która musiała rzucić wszystko, by pomóc Sarah w hotelu. Ale czyby sobie poradziła bez jej wsparcia?

Laura westchnęła i wprowadziła klacz z powrotem do boksu, myślami krążąc wokół wciąż tych samych tematów. Praktyka dentystyczna Jake'a prosperowała doskonale. Stajnie kilka lat temu zaczęły przynosić zyski. Mimo to ich długi rosły. Znajomi płacili za luksusowe samochody, wakacje i nowe ubrania, nie musząc obliczać, na ile kieliszków wina stać ich w restauracji lub czy w ogóle powinni do niej pójść. Laura spotykała się z takimi ludźmi. Ubierała się jak oni, tak samo mówiła i pomagała im zbierać pieniądze dla mniej uprzywilejowanych. Ale nie była taka jak oni. Mimo pomocy matki musiała oszczędzać, by opłacić rachunki. Zakupy robiła w sklepach z rzeczami używanymi, nawet w Czerwonym Krzyżu. Od dwudziestu lat nie zmienili w domu mebli. W spożywczym wykorzystywała kupony zniżkowe. Nie wiedziała, z czego jeszcze mogą zrezygnować. Kennedy uwielbiała swoją szkołę. Jak Laura mogłaby nie zapewnić córce takiej samej edukacji, jaką sama otrzymała?

Matka opłacała również wpisowe w country clubie Annisquam, ponieważ według Jake'a członkostwo pomagało interesom – jego praktyce i stajniom Laury, gdyż większość uczniów (i koni, które trzymała w stajniach) pochodziła z rodzin znanych w towarzystwie.

Laura wepchnęła taczkę do pierwszego pustego boksu i widłami zaczęła wrzucać do niej gnój. Jesteś tutaj, bo tego chcesz, przypominała sobie.

A zresztą, czy ucieczka cokolwiek rozwiązuje? Elly i Anne uciekły z Zatoki Szaleńców, ale żadna z nich nie miała domu, rodziny ani pewnej pracy.

A jednak Laura chciałyby mieć nieco więcej wolności.

Rzuciła się w wir sprzątania stajni – ośmiu własnych koni i tuzina klientów – ładowała tony nawozu na wóz i naczepę. W końcu zdjęła kurtkę, ale kiedy skończyła, koszulę i tak miała mokrą od potu.

Właśnie rozrzucała w boksach świeże trociny, kiedy zadzwoniła matka.

– Musisz mi pomóc z kwiatami na dzisiejsze wesele – zapowiedziała Sarah. – Mindy wzięła chorobowe i nie ma jej kto zastąpić. Możesz przyjść jeszcze rano?

– Oczywiście – odparła Laura. – Już prawie skończyłam w stajni. Przyprawdę też Kennedy.

Godzinę później w kuchni Hotelu nad Zatoką Szaleńców podcinała i aranżowała kwiaty. Kennedy pomogła matce zebrać je w ogrodzie, ale teraz, gdy Laura podniosła wzrok, zobaczyła córkę stojącą przed otwartymi drzwiami ogromnej hotelowej lodówki z nierdzewnej stali.

– Na miłość boską, Kennedy – odezwała się Laura. – Zamknij tę lodówkę! Nie stój i się nie gap. Marnujesz prąd.

– Przepraszam, mammo.

Laura patrzyła, jak Kennedy siada w kuchennym kącie z eklerkami w obu dłoniach. Ledwie trzynastoletnia miała już brzuszki wystający zza paska dżinsów. Laurę martwiła skłonność córki do podjadania, szczególnie że dziewczynka nie lubiła sportu. Kennedy nie jeździła nawet na rowerze górskim podarowanym jej na zeszłoroczne Boże Narodzenie, który kosztował tyle co trzymiesięczne zakupy spożywcze. Laura miała ochotę sprzedać go. Przydałyby się im pieniądze. Na myśl o nich przypomniała sobie, że znowu musi poprosić matkę o pomoc w opłaceniu czesnego Kennedy. Laura poczuła w gardle wielką gulę, jakby pajak upłócił w nim gęstą sieć. Zerknęła na Sarah, próbując wyczuć jej nastrój. Niedobrze: matka przerwała podcinanie kwiatów i spoglądała na Kennedy pożerającą eklerki niczym wygłodniały uchodźca w obozie na pustyni.

Tylko nic nie mów, mammo, prosiła w duchu Laura.

Kilka sekund później Sarah się odezwała.

– Kennedy, skarbie, czy naprawdę musisz jeść na śniadanie to świństwo? Jesteś w siódmej klasie. Grube dziewczyny kiepsko się bawią w liceum.

Kennedy ze szlochem wybiegła z kuchni.

– Mammo! – zawołała Laura, pragnąc pobiec za córką i ją pocieszyć, choć dobrze wiedziała, że Kennedy wybuchała płaczem z taką łatwością, z jaką inni kichają – nagle, głośno i często bez powodu.

– Tak, kochanie? – spytała Sarah znad trzech kwiatów trzymanyh w dłoni.

– Co ty sobie myślałaś? – oburzyła się Laura. – Nie możesz mówić jej takich rzeczy!

Sarah uniosła podkreśloną kredką brew.

– Niby dlaczego? Ktoś wreszcie musi jej powiedzieć prawdę. Naprawdę chcesz, żeby wciąż tyła? Na śniadanie powinna jeść jogurt, a nie lody. Jaki nosisz teraz rozmiar, Lauro? XL? Kennedy wygląda grubiej od ciebie, a jeszcze nie zaczęła dorastać. A może zaczęła? Dostała już pierwszą miesiączkę? Czytałam, że teraz dziewczynki szybciej dojrzewają.

Sarah lubiła opierać swoje opinie na badaniach naukowych, często nawet na pseudobadaniach cytowanych w porannych programach telewizyjnych. Nikt nie śmiał więc ich kwestionować.

Najgorsze, że Sarah miała rację: Laura nosiła rozmiar XL, niezaprzeczalnie duży. A nie mogła zrzucić nadwagi na ciążę, bo miała już czterdziestkę, a jej córka była nastolatką.

– Nie, Kennedy nie miała jeszcze pierwszej miesiączki.

– Ale chyba to już niedługo, prawda? – Matka wyjęła kolejną dalię ze stosu kwiatów na blacie.

– Tak. A lekarz sądzi, że wtedy prawdopodobnie urośnie i w naturalny sposób schudnie. Tymczasem nie powinniśmy czepiać się tego, co je Kennedy. Lekarz twierdzi, że to może wywołać odwrotny skutek i zachoruje na anoreksję.

– No cóż, odrobina anoreksji jeszcze nikomu nie zaszkodziła. – Sarah włożyła ostatnią czerwoną dalię do kryształowego wazonu już pęczniejącego od szkarłatnych, pomarańczowych i białych kwiatów. – Kobięcą odpowiedzialność za utrzymanie dobrej figury dzisiaj wszyscy próbują włączyć do zjawisk patologicznych. W moich czasach tego właśnie oczekiwano.

– Tak, a przedtem kobiety nosiły gorsety z wielorybich kości – zażartowała Laura przez zaciśnięte zęby.

Matka się uśmiechnęła.

– Wciąż tęsknię za moim pasem wyszczuplającym. Spandeks nie jest tak skuteczny. Już wiem! A może dołączycie z Kennedy do grupy Strażników Wagi? Z chęcią za to zapłacę. Albo za jakąś inną prozdrowotną aktywność.

Przez jedną ekscytującą chwilę Laura miała ochotę zrzucić wazony wypełnione kwiatami, jeden po drugim, na kuchenną podłogę pokrytą kafelkami. Ale się powstrzymała, wciąż bowiem potrzebowała matczynego wsparcia.

– Może się zorientuję, jak wyglądają zapisy – powiedziała. – Dobry pomysł, mamó.

Sarah uśmiechnęła się i wygładziła włosy, które – kiedyś jasne – zdążyły posiwieć, wciąż jednak były długie i gęste. Zwykle zwijała je w równy koczek tuż nad zgrabną szyją. Jakimś cudem – nawet układając kwiaty czy siedząc nad rachunkami – Sarah wciąż wyglądała niczym aktorka z francuskiego filmu, typ bohaterki mającej dwóch kochanków jednocześnie, w tym dużo młodszego.

– Kennedy przynajmniej jest inteligentna – ciągnęła Sarah. – To jakieś pocieszenie. Wygląd nie będzie miał znaczenia, jeśli dostanie się do przyzwoitego college’u i zarobi na swoje utrzymanie. Podobno współczesne kobiety są szczęśliwe, żyjąc samotnie, spełniają się zawodowo i tak dalej.

– Mamó, proszę cię, przestań! – zirytowała się Laura. – Kennedy nic nie będzie. Późno dojrzeje, to wszystko. – Daj Boże, żeby to była prawda.

– Przykro mi, ale się martwię. W jej wieku nie byłyście takie przysadziste. No ale też dużo się ruszałyście, ledwo mogłam za wami nadążyć. Może Kennedy powinna więcej ci pomagać. Obowiązki domowe są doskonałym ćwiczeniem.

Sarah podniosła trzy wazony i popłynęła w stronę drzwi prowadzących do jadalni, szeleszcząc pończochami pod tweedową

wielką spódnicą i czerwoną marynarką zwężaną w talii. Patrząc na matkę, Laura przypomniała sobie słowa ciotki Flossie, siostry ojca: „Wasza matka chodzi jak statek Queen Mary przecinający fale”.

Laura była boleśnie świadoma, że ma brudne dżinsy i adidas, ale zmusiła się, by podążyć za Sarah do jadalni. Musiała zrobić to, co do niej należało, i iść do domu.

– Mamó, wołałabym cię o to nie pytać, ale skoro rozmawiamy o Kennedy, potrzebuję pomocy – powiedziała pośpiesznie Laura. – Nie zapłaciliśmy chesnego, nie mamy rady. Pomożesz nam?

Sarah postawiła wazony na stole.

– Ile?

Laura podała kwotę, a matka tylko kiwnęła głową.

– Przygotuję ci czek na jutro rano. Możesz go odebrać w biurze, u Rhondy.

– Dzięki. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły.

Sarah się uśmiechnęła.

– A po cóż ma się rodzinę? – Odwróciła się w stronę kuchni i dodała: – Przy okazji, jest tu Anne. Przyjechała wczoraj wieczorem.

– Co? Dlaczego? – Na dźwięk imienia siostry Laura poczuła taką falę złości, że wbiła sobie paznokcie w dłonie.

– Nie wiedziałaś? Myślałam, że kontaktujecie się przez internet i tylko ja jestem z tego wyłączona. – Sarah machnęła ręką, lekceważąco podsumowując wszystkie media społecznościowe. Ale to była poza, doskonale na co dzień radziła sobie z agresywnym i fachowym marketingiem sieciowym.

– Nie. Na długo zostaje? – Laurę ścisnęło w żołądku. Anne była daleko przez dwa błogie lata.

– Twierdzi, że przynajmniej do Bożego Narodzenia.

Wahadłowe drzwi zamknęły się za Sarah, zanim Laura zdążyła zareagować. Stała jak słup soli. Jeszcze tylko Anne tutaj brakowało! Nie mogła znieść myśli o jej obecności.

Otworzyła drzwi i weszła za matką do kuchni.

– Gdzie teraz jest?

– Na górze. Pewnie śpi.

Oczy Laury załśniły od gniewu.

– Dlaczego przyjechała na tak długo? Straciła pracę czy co?

Wydawało się, że Sarah chce odpowiedzieć, ale tylko pokręciła głową.

– Najlepiej będzie, jeśli sama zapytasz o to Anne. Wiesz, że nie lubię się wtrącać w wasze sprawy. A teraz spójrzmy. Zamierzałam postawić te wysokie chińskie wazony na stołach bufetowych. Co myślisz?

– Jasne. Ustaw je, a ja przyniosę te mniejsze. – Laura zmusiła się do opuszczenia spiętych ramion. Całe ciało powstrzymywało narastający krzyk.

Szybko przeszła do jadalni z kolejnymi dwoma wazonami pełnymi kwiatów. Jeśli chciała uniknąć spotkania z siostrą, musiała szybko skończyć pracę. Zatrzymała się jednak na chwilę, by wyrzeć przez okna na trawnik pokrywający wzgórze opadające w stronę morza, i szukała pocieszenia w znajomym widoku. Ogród składał się z kilku płytkich kamiennych tarasów, które tworzyły coś w rodzaju schodów wiodących na brzeg morza. Na środkowym tarasie znajdowało się patio z białą kratownicą, po której przez większość lata pięły się różowe róże. Teraz, we wrześniu, słynne róże z Zatoki Szaleńców już bladły, ale byliny na skalniakach wciąż tworzyły dywany aksamitnego złota i pomarańczowego, czerwieni i fioletu. Pod ogrodem leżała kamienista plaża. Laura patrzyła na fale oceanu rozbijające się o skały. Dzisiejsze przyjęcie weselne zaplanowano na trzecią po południu. Będzie wtedy odpływ, odsłoni złotą podkowę piasku, nad którą zaczną krzyać białe mewy, lśniąc bielą i krążąc w powietrzu. Goście weselni wezmą drinki, zejdą na brzeg i będą robić zdjęcia.

Laura знаła to na pamięć. Dwadzieścia lat wcześniej była panną młodą stojącą pod kwiatami róż. Szła ścieżką wśród wie-

loetnich roślin, podtrzymując tren i ze śmiechem prowadząc na plażę. Tam, na piasku, pozowali z Jakiem do fotografii ślubnych, które teraz leżały bezpiecznie w oprawionym w biały jedwab albumie wetkniętym na górną półkę szafy w sypialni. Powrót Anne przypominał Laurze, że nie ma serca znowu oglądać tych zdjęć.

Rodzinne więzy łączą nas na zawsze – bez względu na to, jak daleko próbujemy od nich uciec...

Trzy siostry Bradford znane są z urody, pięknych głosów, legendarnych przodków i eleganckiej matki, która od dnia, kiedy zniknął jej mąż, samotnie prowadzi stary Hotel nad Zatoką Szaleńców.

Najstarsza została i stworzyła sobie z pozoru idealne życie: wyszła za mąż, urodziła dziecko i pomaga matce prowadzić hotel. Dwie młodsze uciekły, by spełniać marzenia. Po serii kiepskich decyzji obie muszą wrócić do domu, stawiając czoło krytycznej matce i najstarszej siostrze. Wszystkie postanawiają urządzić przyjęcie urodzinowe dla matki, z trudem starając się utrzymać w tajemnicy fikcję, którą z taką pieczołowitością tworzyły. Ale kiedy otwierają się stare bolesne rany i wychodzą na jaw rodzinne sekrety, siostrzane więzi zostają wystawione na ciężką próbę.

Kameralne, szczerze spojrzenie na siostrzeństwo, pełne ciepła i humoru. Fascynująca historia o rodzinie: o tym, co ją potrafi rozbić, ale przede wszystkim o miłości, która cementuje jak nic innego.

w sprzedaży także



cena 39,90 zł

www.marginsy.com.pl

